

Autor bestsellerowej „Katedry w Barcelonie”

ILDEFONSO FALCONES

RĘKA FATIMY



ALBATROS

Tytuł oryginału:
LA MANO DE FÁTIMA

Copyright © Ildefonso Falcones de Sierra 2009
All rights reserved

Translated from the original edition of Random House Mondadori,
Barcelona, Spain, 2009

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Teresa Gruszecka-Loiselet & Anna Łochowska 2010

Redakcja: Barbara Nowak

Konsultacja historyczna: dr Katarzyna Pachniak

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: rorooza/Freeplik (*mandala*); Freeplik (*chamsa; motyw arabski*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



1

*Juviles, Alpuhara, królestwo Grenady,
niedziela, 12 grudnia 1568*

Dźwięk dzwonu wzywającego na sumę o dziesiątej rano przeszył mroźne powietrze spowijające osadę położoną na jednym z wielu stoków pasma Sierra Nevada. Metaliczne echo ginęło w wąwozie, jakby chciało roztrzaskać się o zbocza łańcucha górskiego Contraviesa, zamykające od południa żyzną dolinę z rzekami Guadalfeo, Adra i Andarax, nie licząc wielkiej ilości ich dopływów, których wody spadają z zaśnieżonych szczytów. Dalej, za łańcuchem Contraviesa, ziemie Alpuhary ciągną się aż do Morza Śródziemnego. W nieśmiałych promieniach zimowego słońca blisko dwieście osób – mężczyzn, kobiet i dzieci – wlokło się noga za nogą, w milczeniu, do kościoła. Coraz większy tłum gromadził się przed drzwiami wyjściowymi.

Świątynia z kamienia koloru ochry, bez jakichkolwiek ozdób, składała się jedynie z prostokątnego korpusu, przy którym, z jednego boku, wznosiła się masywna wieża z dzwonem. Z placu przed kościołem rozpościerał się widok na przełęcze i płataninę ścieżek biegnących zboczami z Sierra Nevada ku dolinie. Stąd rozchodziły się wąskie uliczki z domami bielonymi sproszkowanym łupkiem: budynki jedno- lub dwupiętrowe z malutkimi oknami i drzwiami, z płaskimi dachami, z których wystawały okrągłe kominy zwieńczone kołpakami w kształcie grzyba. Na dachach suszyły się w słońcu papryki, figi i winogrona. Ulice pięły się zygzakami, tak że płaskie dachy domów niżej położonych stykały się z fundamentami

usytuowanych wyżej, jakby wspinały się jedne po drugich.

Na placu przed wejściem do kościoła kilkoro dzieci i paru starych chrześcijan – wioska liczyła ich nieco ponad dwudziestkę – przyglądało się staruszce na drabinie przystawionej do głównej fasady świątyni. Kobieta przycupnęła na samej górze, trzęsąc się i szczękając szczerbatymi zębami. Wchodzący do kościoła moryskowie nie mogli oderwać wzroku od swojej siostry w wierze. Tkwiła tam już od świtu, trzymając się ostatniego szczebla drabiny, lekko ubrana mimo zimowej pory. Dzwon wciąż dzwonił i któreś dziecko dostrzegło, że kobieta porusza się w rytm uderzeń serca dzwonu, próbując utrzymać równowagę. Ktoś zachichotał, mącąc ciszę.

– Wiedźma! – dało się słyszeć między parsknięciami śmiechu.

W stronę staruszki poleciało parę kamieni, przechodzący obok pluła na drabinę.

Dzwon przestał bić; stojący na zewnątrz chrześcijanie w pośpiechu wchodzili do kościoła. W środku, nieopodal ołtarza głównego, klęczał zwrócony twarzą do wiernych gruby, smagły mężczyzna ogorzały od słońca, bez płaszcza czy peleryny, z powrozem na szyi i rozkrzyżowanymi ramionami, a w każdej dłoni trzymał gromnicę.

Przed kilkoma dniami ów człowiek wręczył staruszce koszulę swej chorej żony, żeby uprała ją w cudownym źródle, które – jak wieść głosi – miało moc uzdrawiania. W tym naturalnym źródelku ukrytym między skałami, wśród roślinności gęsto porastającej górę, nigdy nie prano bielizny. Kiedy miejscowy proboszcz don Martín zobaczył kobietę piorącą koszulę, nie miał ani cienia wątpliwości, że chodzi o jakieś czary. Karę wymierzono niezwłocznie: staruszka miała spędzić całe niedzielne przedpołudnie na szczycie drabiny, wystawiona na ludzkie pośmiewisko. Naiwny morysk, który zamówił u niej czary, musiał odpokutować swą winę przez wysłuchanie mszy na klęczkach, żeby wszyscy zgromadzeni mogli na niego patrzeć.

Zaraz po wejściu do kościoła mężczyźni zatrzymali się w tylnej części świątyni, a ich żony i córki poszły do przodu, zajmując przeznaczone dla nich miejsca. Pokutnik spoglądał niewidzącym wzrokiem. Wszyscy go znali: był dobrym człowiekiem, dbał o swoją ziemię i parę krowin. On pragnął tylko pomóc chorej żonie! Mężczyźni zaczęli kolejno ustawiać się za kobietami. Kiedy już wszyscy

znaleźli się na swoich miejscach, wyszedł przed ołtarz proboszcz don Martín, prebendarz don Salvador i zakrystian Andrés. Don Martín, tęgi, z czerwonymi plamami na białej twarzy, wystrojony w ornat ze złotogłowia, usadowił się w fotelu na wprost zgromadzonych. Prebendarz i zakrystian stanęli po jego obu stronach. Zamknięto drzwi kościoła; ustały przeciągi, a lampy zaświeciły jaśniej. Światło odbijało się wieloma kolorami od kasetonowego stropu w stylu mudejar kontrastującego z surowością i smutkiem retabulum ołtarza głównego i naw bocznych.

Zakrystian, wysoki młodzian w czarnym stroju, chudy, o śniadej cerze, podobnie jak znaczna większość wiernych, otworzył jakąś księgę i odchrząknął.

– Francisco Alguacil – przeczytał.

– Obecny.

Zakrystian spojrzał na mówiącego i zanotował coś w książce.

– José Almer.

– Obecny.

Kolejna adnotacja. „Milagros García, María Ambroz...”. Odpowiedzi wywoływanych „obecny, obecna” brzmiały coraz mniej wyraźnie, w miarę jak przeciągało się odczytywanie nazwisk. Zakrystian kontynuował sprawdzanie listy obecności, przyglądając się twarzom wywołanych osób i robiąc notatki.

– Marcos Núñez.

– Obecny.

– Nie było cię na mszy w ubiegłą niedzielę – rzekł zakrystian.

– Byłem, ale... – Mężczyzna próbował coś wyjaśnić, lecz głos mu się załamał. Dokończył zdanie po arabsku, wymachując kartką.

– Podejdź bliżej! – rozkazał Andrés.

Marcos Núñez przycisnął się do przodu i stanął u stóp ołtarza.

– Byłem w Ugjjar – zdołał tym razem wykrztusić i podał kartkę zakrystianowi.

Obejrawszy pobieżnie ten dokument, Andrés przekazał go proboszczowi, a ten przeczytał uważnie, obejrzał podpis i skrzywił się na znak potwierdzenia, że wszystko się zgadza – główny opat kolegiaty w Ugjjar zaświadcza, że w dniu 5 grudnia roku 1568 nowy chrześcijanin nazwiskiem Marcos Núñez, zamieszkały w Juviles, był

na sumie odprawianej w tej miejscowości.

Zakrystian uśmiechnął się nieznacznie i zanotował coś w swej książce, zanim wrócił do odczytywania niekończącej się listy nazwisk nowych chrześcijan – muzułmanów zmuszonych przez króla do przyjęcia chrztu i przejścia na chrześcijaństwo. Miał obowiązek sprawdzać ich obecność na nabożeństwach w każdą niedzielę i w dni nakazane. Kiedy wywoływany nie odpowiadał, Andrés starannie odnotowywał jego nieobecność. Dwie kobiety w przeciwieństwie do Marcosa Núñeza usprawiedliwionego przez proboszcza z Ugíjar nie miały nic na usprawiedliwienie swej nieobecności na mszy odprawianej w ubiegłą niedzielę. Obie próbowały tłumaczyć się nieskładnie. Andrés nie przerywał im, tylko przeniósł wzrok na proboszcza. Jedna z kobiet natychmiast zamilkła, gdy tylko don Martín uciszył je władczy gestem dłoni; ale druga wciąż powtarzała, że tamtej niedzieli była chora.

– Spytajcie mojego męża! – zawołała piskliwie, szukając go nerwowo oczami w tylnych rzędach. – On wszystko wam...

– Milcz, służko diabła!

Po tych słowach don Martína kobiecie odjęło mowę i skuliła ramiona. Zakrystian zapisał jej nazwisko: obie kobiety zostały skazane na pół reala grzywny.

Upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim Andrés skończył liczenie wiernych i rozpoczęła się msza. Na wstępie don Martín polecił zakrystianowi dopilnować, żeby pokutnik podniósł wyżej ręce, w których trzymał gromnice.

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Nabożeństwo przebiegało opieszale, choć mało kto rozumiał słowa Pisma Świętego. Niewielu też było w stanie nadążyć za burzliwą w tonie homilią, pełną reprimend pod adresem zgromadzonych.

– Jak można wierzyć, że źródłana woda uzdrowi kogoś z choroby? – Don Martín wytknął palcem klęczącego mężczyznę. Ręka mu drżała, gdy mówił z groźnym wyrazem twarzy: – Oto wasza pokuta. Tylko Chrystus może wyzwolić was z nędzy i cierpień, które zsyła na was za rozpustę, bluźnierstwa i świętokradcze postęпки!

Większość z wiernych nie mówiła po kastylijsku; niektórzy porozumiewali się z Hiszpanami w dialekcie *aljamiado* będącym

mieszaniną arabskiego i kastylijskiego. Niemniej jednak wszyscy musieli znać Ojciec nasz, Zdrowaś, Maryjo, Wierzę w Boga, *Salve Regina* i dziesięcioro przykazań po kastylijsku. Dzieci uczyły się tego od zakrystiana, mężczyźni i kobiety na obowiązkowych lekcjach katechezy prowadzonych w piątki i soboty; za nieobecność karano grzywną i odmową udzielenia sakramentu małżeństwa. Moryskowie byli zwolnieni z obowiązku uczęszczania na te lekcje dopiero wtedy, gdy wykazali się dobrą znajomością modlitw.

Podczas mszy niektórzy się modlili. Dzieci, wpatrzone w zakrystiana, robiły to głośno, prawie krzycząc, tak jak nakazywali im rodzice, gdyż wtedy oni mogli wzywać ukradkiem, za plecami don Salvadora, który przechadzał się nieustannie po kościele: *Allahu Akbar*. Wielu szeptało te słowa z zamkniętymi oczami, wzdychając.

– O Łaskawy! Uwolnij mnie od przywar i nałogów... – padały słowa modlitwy w szeregach mężczyzn, kiedy tylko prebendarz nieco się oddalił. Nie robił tego zbyt często, jakby obawiał się prowokacji ze strony morysków wzdychających do muzułmańskiego Boga w chrześcijańskiej świątyni podczas głównej mszy.

– O Najwyższy! Prowadź mnie w mocy swojej!... – zawołał młody morysk kilka rzędów dalej w trakcie głośnego odmawiania ojczysz wykrzykiwanego przez dzieci.

Don Salvador odwrócił się gwałtownie.

– O Dawco pokoju! Okryj mnie chwałą Twoją... – rozległ się inny głos z przeciwległej strony świątyni.

Prebendarz poczerwieniał ze złości.

– O Miłosierny! – odezwał się ktoś trzeci.

Chrześcijańska modlitwa urwała się nagle i znów słyhać było surowy głos proboszcza.

– Błogosławione jest Twoje imię – padło z końca szeregów wiernych.

Moryskowie ani drgnęli, stali sztywno wyprostowani; niektórzy wytrzymali spojrzenie don Salvadora, większość spuściła oczy. Kto ośmielił się chwalić imię Allaha? Prebendarz kuksańcami torował sobie drogę, ale nie potrafił wskazać na bluźniercę.

W połowie mszy, pod czujnym wzrokiem don Martína siedzącego w fotelu, zakrystian z książką, a prebendarz z koszykiem w rękę

przystąpili do zbierania datków od parafian: drobne monety, chleb, jajka, len... Jedynie biedacy byli zwolnieni od składania ofiar; a na bogaczy, którzy przez trzy kolejne niedziele nic nie dali, nakładano stosowną grzywnę. Andrés szczegółowo zapisywał, kto jaką złożył ofiarę.

Kiedy zabrzmiał dzwonek „na umieranie”, jak nazywano przeistoczenie, moryskowie niechętnie uklękli, idąc za przykładem starych chrześcijan. Dzwonek „na umieranie” zabrzączał najpierw w momencie, gdy ksiądz, stojąc tyłem do wiernych, podnosił hostię, a potem gdy podnosił kielich. Już miał wypowiedzieć sakramentalne słowa, gdy nagle, rozzłoszczony wzbierającym w kościele gwarem, odwrócił się do parafian, żeby ich zwymyślać.

– Psy! – ryknął, przyskając śliną na święty kielich. – Co to za gadanie? Ma być cisza! Na kolana, heretycy! Należycie przyjmować Chrystusa, jedyne Boga! Ty! – Wycelował wskazującym palcem w starca z trzeciego rzędu. – Wyprostuj się! Uwielbiaj Pana, a nie swego fałszywego boga. Głowa do góry! Nie spuszczać oczu, kiedy przyjmujecie Najświętszy Sakrament!

Spiorunował wzrokiem kolejnych dwóch morysków, zanim znów się odwrócił do ołtarza. Następnie mężczyźni i kobiety podchodzili w milczeniu, żeby zjeść „ciastko”. Wielu morysków próbowało ukryć w ustach pod językiem zaśliniony kawałek pszenicznej masy i wypluć po powrocie do domu; wszyscy bez wyjątku będą płucać gardło, żeby pozbyć się resztek „ciastka”.

Ludzie opuścili kościół po błogosławieństwie końcowym. Jedni – chrześcijanie – przyjęli je nabożnie, inni – tych była większość – szydzili, żegnając się na wspak. Wyznawali bowiem w milczeniu jedyne Boga i kpili sobie z Trójcy Świętej, którą mieli chwalić przez znak krzyża. Moryskowie w pośpiechu wracali do swych domów, żeby wypluć „ciastko”. Nieliczni miejscowi chrześcijanie przystawali na pogawędkę w drzwiach kościoła, nie bacząc, że ich dzieci znieważają staruszkę, która wreszcie spadła z drabiny i leżała na ziemi, skulona i zdrętwiała, oddychając z trudem sinymi wargami. W świątyni pozostał jeszcze pokutnik, gdyż proboszcz wraz z pomocnikami przedłużyli mu karę, i podczas gdy przenosili z ołtarza do zakrystii przedmioty liturgiczne, wciąż wypominali mu winę.

2

Moryskowie podnieśli bunt, to prawda, ale to starzy chrześcijanie doprowadzili ich do rozpaczyny swoją arogancją, grabieżą ich mienia i bezczelnym zniewalaniem ich kobiet. Dotyczy to również duchownych. Kiedy w jednej z wiosek wszyscy moryskowie narzekali na swojego duszpasterza, arcybiskup polecił sprawdzić zasadność tych skarg. Zabierzcie go stąd, prosili parafianie... albo niech się ustakuje i weźmie sobie żonę, bo wszystkie nasze dzieci rodzą się z niebieskimi oczami, jak jego.

FRANCÉS DE ÁLAVA, ambasador Hiszpanii
we Francji, do Filipa, II, 1568

Juville było stolicą *taa*, okręgu liczącego dwadzieścia parę wiosek rozrzuconych po stromych zboczach Sierra Nevada. Z całej powierzchni ziemi uprawnej tylko nieco ponad ar stanowiły grunty nawadniane. Uprawiano głównie pszenicę i jęczmień, prawie sto osiemdziesiąt hektarów przypadało na winorośl, oliwki, drzewa figowe, orzechowe, kasztanowe i przede wszystkim morwy, pokarm jedwabnika. Było to największe źródło bogactwa w tym rejonie, choć jedwab z Juville nie cieszył się takim uznaniem jak jedwabie z innych *taa* Alpuhary.

W tych górach, na wysokości ponad tysiąca łokci nad poziomem morza, pracownicy moryskowie cierpliwie uprawiali każdy, nawet najbardziej stromy skrawek ziemi, na którym dawało się zasiać trochę zboża. Zbocza przecinały tarasowe poletka wszędzie tam, gdzie nie było nagich skał, często w trudno dostępnych miejscach. Tego dnia słońce stało już wysoko na niebie, kiedy po pracy w polu wracał

do Juviles młody Hernando Ruiz, trzynastoletni chłopak o ciemnokasztanowych włosach i jasnej cerze, czym wyróżniał się wśród ciemnooliwkowych morysków. Rysy twarzy miał co prawda typowe dla morysków, jednakże spod gęstych brwi spoglądały duże niebieskie oczy. Był średniego wzrostu, szczupły, zwinny i muskularny.

Pozrywał ostatnie oliwki ze starego, powykręcane go drzewa, które rosło obok poletka z zasianą pszenicą, odporne na surowy, górski klimat. Zamiast potrząsnąć gałęziami, żeby oliwki spadły na ziemię, wdrapał się na drzewo i zerwał co do jednej, nawet te, które miały odcień fioletowy. Słońce ogrzało zimne powietrze wiejące od Sierra Nevada. Hernando chętnie by tu jeszcze został, żeby powrywać chwasty, a następnie odwiedzić starego Hamida, który z pewnością pracuje na swym skrawku ziemi. Kiedy przebywał z nim sam w polu albo na górskich ścieżkach, które przemierzali w poszukiwaniu cennych ziół do wyrobu lekarstw, nazywał go Hamid, a nie Francisco, jak chciały chrześcijańskie władze. Większość morysków miała dwa imiona: chrześcijańskiego używali między obcymi ludźmi, a muzułmańskiego między sobą. Tylko Hernando miał jedno imię, choć często nazywano go dla śmiechu „nazarejczykiem”.

Chłopiec instynktownie zwolnił kroku na myśl o tym przezwisku. Nie był żadnym nazarejczykiem! Kopnął niewidzialny kamień i pospieszył w stronę domu położonego na obrzeżach osady, bo tam znajdowało się odpowiednie miejsce na wybudowanie szopy dla siedmiu mulic, z którymi jego ojczym przemierzał drogi Alpuhary. Jedna z nich, zwana Staruszką, była ulubienicą Hernanda.

Przed niecałym rokiem dowiedział się od matki, skąd wzięło się to przezwisko. Owego dnia wstał o świcie, żeby pomóc zaprzęgać muły ojczymowi, który miał na imię Brahim – José dla chrześcijan. Na koniec, kiedy klepnął pieszczotliwie Staruszkę po szyi na pożegnanie, otrzymał silny cios w prawe ucho i znalazł się na ziemi o kilka kroków dalej.

– Ty psie nazarejski! – wrzasnął Brahim, pochylając się nad nim z wściekłością. Chłopak potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, i podniósł rękę do ucha. Z tyłu za ojczymem dostrzegł matkę przemykającą do domu ze smutnie pochyloną głową. – Źle założyłeś popręg! – krzyczał mężczyzna, pokazując na jedną z mulic. – Chcesz,

żeby otarła sobie boki i nie mogła pracować? Nie ma z ciebie żadnego pożytku, nazarejski darmozjadzie. – Splunął na chłopca. – Ty chrześcijański bękarcie!

Hernando uciekł na czworakach przed kopniakami ojczyma i zagrzebał się w słomie w kącie szopy, chowając głowę w kolanach. Stukot mulich kopyt oznaczał, że Brahim wyruszył w drogę, i zaraz potem matka chłopca Aisza weszła do szopy z kubkiem lemoniady w ręce.

– Bardzo boli? – spytała, pochylając się i głaszcząc go po włosach.

– Dlaczego wszyscy nazywają mnie nazarejczykiem, matko? – załkał, podnosząc głowę znad kolan. Aisza przymknęła oczy, żeby nie widzieć zapłakanej twarzy syna. Chciała otrzeć mu łzy, ale Hernando odwrócił głowę. – Dlaczego? – powtórzył.

Aisza westchnęła głęboko, smętnie pokiwała głową i przykucnęła na słomie.

– No cóż, jesteś już dostatecznie duży. – Westchnęła znowu, jakby to, co miała powiedzieć, wymagało od niej wielkiego wysiłku. – Musisz wiedzieć, że czternaście lat temu, czyli o rok więcej, niż ty masz teraz, kiedy mieszkaliśmy jeszcze z rodzicami we wschodniej części Almerii, proboszcz naszej wioski zgwałcił mnie... – Hernando drgnął i powstrzymał łkanie. – Tak, synu. Krzyczałam, broniłam się, jak nakazuje nasze prawo, ale co ja mogłam zrobić... ten potwór był silniejszy. Dopadł mnie w biały dzień z dala od wioski, w polu. Dzień był słoneczny. – Zamyśliła się smutno. – Byłam jeszcze dzieckiem! – krzyknęła. – Zerwał ze mnie koszulę, przewrócił na ziemię i...

Otrząsnęła się z tego wspomnienia, żeby wrócić do rzeczywistości. Syn wpatrywał się w nią nieruchomo szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś owocem tego gwałtu – szepnęła. – Dlatego właśnie... Nazywają cię nazarejczykiem, bo twój ojciec był chrześcijańskim księdzem. To moja wina...

Matka i syn długo patrzyli na siebie. Łzy znów popłynęły po twarzy chłopca, ale tym razem przyczyna bólu była inna. Aisza walczyła z własnymi łzami, aż zrozumiała, że nie zdoła ich powstrzymać. Upuściła kubek z lemoniadą i wyciągnęła do syna ramiona, żeby w nich znalazł schronienie.

Młodziutka Aisza uratowała swój honor, ponieważ próbowała się bronić przed gwałcicielem, ale gdy tylko ciąża stała się widoczna, jej ojciec, skromny mulnik, muzułmanin, świadom, że nie uniknie hańby, zaczął szukać sposobu, żeby na nią nie patrzeć. Znalazł go dzięki Brahimowi. Ten młody, przystojny poganiacz mułów z Juviles, którego często spotykał na drodze, zgodził się poślubić jego córkę w zamian za dwa muły w posagu: jeden za dziewczynę, a drugi za dziecko, które nosiła w swym łonie. Początkowo Brahim trochę się wahał, ale był młody, biedny i chciał mieć własne stado zwierząt. Poza tym miał nadzieję, że dziecko się nie urodzi, a jeśli już, to pewnie zaraz umrze... Warunki życia były tak trudne na tej niegościnnej ziemi, że dzieci masowo umierały wkrótce po urodzeniu.

Czuł wstręt do dziewczyny zgwałconej przez chrześcijańskiego księdza, mimo to przystał na zaproponowaną transakcję i zabrał Aiszę z sobą do Juviles.

Tymczasem, wbrew nadziejom Brahima, Hernando urodził się zdrowy i silny, z niebieskimi oczami księdza gwałciciela. I nie umarł w dzieciństwie. Wieść o jego pochodzeniu podawano sobie z ust do ust. Ludzie ulitowali się nad zgwałconą dziewczyną, ale ich litość nie obejmowała dziecka, które było owocem gwałtu. Ludzka niechęć rosła w miarę upływu czasu, tym bardziej że chłopiec cieszył się wyjątkowymi względami don Martína i Andrésa. Okazywali mu dużo większe zainteresowanie niż dzieciom chrześcijańskim, jakby chcieli wyrwać tego księżowskiego bękarta z kręgu wpływów wyznawców Mahometa.

Hernando wręczył matce przyniesione oliwki, zdobywając się na uśmiech, ale ona nie dała się oszukać. Pogłaskała go czule po głowie, jak to zwykle robiła, kiedy był smutny. Pozwolił się głaskać i nie przeszkadzało mu, że przyrodnie rodzeństwo na to patrzy; matka tak rzadko miała sposobność okazywania mu czułości, właściwie tylko wtedy, gdy ojczyma nie było w domu. Brahim zawsze podzielał niechęć muzułmańskiej gminy do niebieskookiego nazarejczyka, a w miarę jak Aisza rodziła mu prawowite dzieci, czuł do niego coraz większą nienawiść. Kiedy Hernando skończył dziewięć lat, musiał przenieść się do szopy i zamieszkać z mułami, a do domu zaglądał jedynie pod nieobecność ojczyma. Aisza nie śmiała sprzeciwić się

mężowi, toteż relacja między matką a synem polegała głównie na ukradkowych, pełnych subtelnych znaczeń gestach.

Tego dnia obiad był już gotowy i czwórka dzieci czekała tylko na przyrodniego brata, który miał zjeść z nimi posiłek w domu. Nawet najmłodszy, czteroletni Musa odnosił się do niego niechętnie.

– W imię Boga Litościwego, Miłosiernego – pomodlił się Hernando, zanim usiadł na podłodze.

Mały Musa i o trzy lata starszy Aquil zrobili to samo, po czym wszyscy zaczęli jeść palcami prosto z garnka kawałki potrawy przygotowanej przez matkę: baraninę z karczochami w oleju z dodatkiem mięty, kolendry, szafranu i octu winnego.

Hernando przeniósł wzrok na matkę – obserwowała ich, wsparta plecami o ścianę małej czystej izby, która służyła za kuchnię, jadalnię i tymczasową sypialnię przyrodniego rodzeństwa. Ra'isa i Zahara, jego siostry przyrodnie, stały obok matki, czekając, aż chłopcy skończą jeść, aby one z kolei mogły się posilić. Hernando przeżuł kawałek mięsa i uśmiechnął się do matki.

Po baraninie z karczochami jedenastoletnia Zahara przyniosła na tacy rodzynki, których Hernando nie zdążył nawet spróbować. Dobiegł go głuchy stukot kopyt i nadstawił ucha. Zauważyli to bracia przyrodni i przerwali jedzenie, spoglądając na niego z ciekawością. Byli jeszcze za mali, aby rozpoznać z daleka odgłos powracających mułów.

– Słyszę Staruszkę! – zawołał mały Musa, kiedy stukot przybrał na sile i wszyscy go słyszeli.

Hernando zacisnął zęby i odwrócił się w stronę matki. W jej spojrzeniu wyczytał potwierdzenie, że pora kończyć. Spróbował się uśmiechnąć, ale zdobył się tylko na smutny grymas, podobny do tego, jaki wykwił na twarzy Aiszy – Brahim wraca do domu.

– Niech będzie Bóg błogosławiony – powiedział na zakończenie posiłku i podniósł się niechętnie.

Przed domem czekała na niego cierpliwie sucha jak szczapa mulica bez uprzęży, ze skórą obtartą w wielu miejscach.

– Chodź, Staruszko – powiedział Hernando i ruszył w stronę szopy.

Poszła za nim, stukając nierówno drobnymi kopytami. W szopie

rzucił jej garść słomy i pogłaskał serdecznie po szyi.

– Wszystko w porządku? – wyszeptał, oglądając poranioną skórę mulicy.

Przypatrywał się przez chwilę, jak je, po czym pobiegł na spotkanie z ojczymem, który czekał na niego gdzieś w ukryciu, z dala od głównej drogi. Biegł przez pole, starając się unikać miejsc, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć, a zwłaszcza chrześcijanin. Omijał poletka tarasowe, żeby nie wpaść na ludzi pracujących mimo późnej pory. Był już niemal u kresu sił, kiedy dostrzegł z daleka przy skałach nad urwiskiem sylwetkę ojczyma. Rosły, brodaty mężczyzna miał na sobie zieloną czapkę i krótki niebieski kabat, spod którego wystawała plisowana tunika sięgająca do połowy uda. Na gołych stopach nosił skórzane buty przymocowane do nóg rzemieniami. Z początkiem nowego roku, kiedy wejdą w życie nowe rozporządzenia, Brahim, podobnie jak wszyscy inni moryskowie z królestwa Grenady, będzie musiał zamienić ten strój na ubranie typowe dla chrześcijan. Za pasem, mimo obowiązujących zakazów, wisiał zakrzywiony sztylet. Z tyłu za nim stało, jedna za drugą, sześć objuczonych mulic, które nie zmieściłyby się parami na tym wąskim występie skalnym. W ścianie wąwozu widniały wejścia do małych jaskiń.

Dostrzegliśy wreszcie ojczyma, Hernando przestał biec. Poczuł na jego widok jeszcze większy strach niż zwykle. Co go czeka tym razem? Poprzednio oberwał za spóźnienie, chociaż przybył najszybciej, jak mógł.

– Co się tak wleciesz?! – wykrzyknął Brahim.

Hernando przyspieszył kroku, skulił się instynktownie, przechodząc obok ojczyma. Mimo to nie uniknął uderzenia w kark. Z trudem utrzymując równowagę, dotarł do pierwszego muła. Bokiem przeslizgnął się między nim a skałą, zatrzymując się przed wejściem do jednej z jaskiń, i w milczeniu zaczął wnosić do środka towary, które ojczym wyciągał z juków.

– Ta oliwa jest dla Juana – poinformował go Brahim, pokazując na duży gliniany dzban. – Dla Aisara! – zawołał, żeby nie było wątpliwości, o kogo chodzi. – A ta dla Farisa. – Hernando ustawiał towary w jaskini, starając się zapamiętać dokładnie, co do kogo należy.

Kiedy juki były już na wpół rozładowane, Brahim wrócił z

powrotem na drogę do Juviles, zostawiając chłopca na straży przed jaskinią. Hernando wpatrywał się w rozległą przestrzeń u swych stóp, aż po Sierra de la Contraviesa. Długo tak nie stał, bo dobrze znał ten krajobraz. Wszedł do jaskini i zaczął rozglądać się wśród świeżo przywiezionych towarów i wielu innych, wcześniej tu zmagazynowanych. Setki jaskiń Alpuhary służyły moryskom do tych właśnie celów. Przed zmrokiem zjawia się właściciele towarów i zabiórą, co do nich należy. Tak było podczas każdej wyprawy: nie dochodząc do Juviles, ojczym wyprzęgał starą mulicę i kazał jej wracać do domu. „Zna Alpuharę lepiej niż ja – często powtarzał mulnik. – Od dziecka chodzę po tych drogach, ale parę razy uratowała mi życie”. Powrót Staruszki do Juviles był dla Hernanda sygnałem, żeby natychmiast biec w rejon jaskiń, gdzie czekał na niego ojczym. Tam zostawiali połowę rzeczy, dzięki czemu wysokie podatki, jakie Braham musiał płacić od swych towarów, spadały o połowę. Z kolei kupcy robili to samo: produkty odbierane z rąk Hernanda gromadzili w tej albo innej grocie i stopniowo przenosili do Juviles. Byle nie wszystko naraz, gdyż poborcy dziesięcin i pierwocin oraz urzędnicy sądowi (a były ich całe rzesze) w każdej chwili mogli zjawić się w domach morysków z żądaniem zapłaty i zająć wszystko, co im wpadło w ręce, przy czym często wartość tych rzeczy przekraczała wysokość długów. Wystawiali to potem na licytację, nie informując właściciela o wynikach sprzedaży. I w ten sposób moryskowie często tracili całe mienie. Wiele skarg wpływało w związku z tym do sędziego pokoju z Ugíjar, do biskupa, a nawet do gubernatora Grenady, ale nic się nie zmieniło pod tym względem. Chciwość poborców podatkowych i urzędników sądowych była jak worek bez dna, morysków okradano bezkarnie, w świetle prawa, dlatego wszyscy poszli za przykładem Brahima, który pierwszy wpadł na taki pomysł.

Hernando siedział w jaskini plecami oparty o ścianę, połamal suchą gałązkę i z roztargnieniem bawił się patyczkami. Miał przed sobą długie godziny oczekiwania. Spoglądał na zgromadzone towary i musiał przyznać, że moryskowie nie mogli postąpić inaczej. Gdyby nie te kombinacje, popadliby w jeszcze większą biedę z powodu chrześcijan. Hernando pomagał również obliczać dziesięcinę od bydła, kóz i owiec. Powierzano mu ważne zadania, mimo że nie

był akceptowany przez gminę. „Nazarejczyk umie pisać, czytać i liczyć”, powiedział pewien stary morysk, i to zadecydowało o wyborze Hernanda na współnika. Rzeczywiście umiał – zakrystian Andrés od dawna zajmował się jego edukacją i znalazł w nim pojętnego ucznia. Ktoś musiał moryskom prowadzić rachunki, żeby poborca dziesięciny nie połapał się w tych machinacjach.

Poborca zjawiał się co roku na wiosnę, kazał wyganiać zwierzęta na łąkę i przeprowadzać jedno za drugim wąskim przejściem zrobionym z pni. Co dziesiąte zwierzę zabierał dla kościoła. Istniał jednak przepis, że gospodarstwa mające trzydzieści lub mniej sztuk bydła zwolnione są z obowiązku dziesięciny, toteż przed spodziewaną wizytą poborcy bogatsi moryskowie dzielili swoje stada między biedniejszych, tak aby na każdego wypadło mniej niż trzydzieści. Wszystko musiało być należycie zapisane i policzone, żeby potem przywrócić stan faktyczny. Koszty tej strategii były jednak bardzo wysokie dla Hernanda. Chłopiec rzucił gwałtownie o ścianę patyczki, które trzymał w ręku. Żaden nie doleciał i upadły na ziemię... Przypomniawszy sobie dzień, kiedy został wybrany na współnika w oszukiwaniu poborców dziesięcin bydła.

– Wielu z nas umie liczyć – zaproponował jeden z gospodarzy, kiedy padła kandydatura Hernanda. – Może nie tak dobrze jak nazarejczyk, ale jednak...

– Wszyscy łącznie z tobą hodują kozy lub owce, może być kłopot z bezstronnością – powiedział stanowczo starzec, który zaproponował Hernanda. – Tylko Brahim, a tym bardziej nazarejczyk nie hodują bydła.

– A jeśli nas zdradzi? – rozległ się inny głos. – Spędza za dużo czasu z klechami.

Wśród zgromadzenia zapadła cisza.

– Nie martwcie się, moja w tym głowa, żeby nie zdradził – zapewnił ich Brahim.

Tego samego wieczoru ojczym zajrzał do szopy w momencie, gdy chłopak kończył oporządzanie mułów.

– Kobieto! – wrzasnął mulnik.

Hernando zdziwił się. Ojczym znajdował się kilka kroków przed nim. Co znowu zrobiłem nie tak? Dlaczego wzywa matkę? Aisza

stanęła w drzwiach stajni i szybko podeszła do nich, wycierając ręce w ścierkę, którą przepasała się jak fartuchem. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Brahim obrócił się na pięcie i uderzył ją na odlew w twarz. Aisza zachwiała się, strumyk krwi spływał jej z kącika warg.

– Widziałeś – warknął ojczym do Hernando. – Oto, co czeka twoją matkę, jeśli powiesz klechom choć słowo o naszych machinacjach z bydłem albo o ukrytych towarach.

* * *

Hernando został w jaskini, dopóki nie pojawił się ostatni kupiec. Zmierzchało już, kiedy wrócił do domu, żeby zająć się mułami. Trzeba było opatrzyć im rany na skórze i sprawdzić ich stan ogólny. W kącie, gdzie miał swoje legowisko w pobliżu mułów, znalazł garnek z kaszą i kubek napoju cytrynowego, które łączywie opróżnił. Kiedy nie miał już nic do roboty przy zwierzętach, szybko wyszedł z szopy.

Splunął, przechodząc obok małych, drewnianych drzwi prowadzących do domu. Wewnątrz rozbrzmiewały śmiechy przyrodniego rodzeństwa. Gruby głos ojczyma górował nad tą wrzawą. Ra'isa zobaczyła go przez okno i uśmiechnęła się nieśmiało. Ona jedna z całego rodzeństwa okazywała mu litość i sympatię, ale podobnie jak Aisza mogła to robić tylko pod nieobecność Brahima. Hernando przyspieszył kroku i wreszcie zaczął biec, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu Hamida.

Stary owdowiały morysk, chudy, ogorzały od słońca, utykający na lewą nogę, mieszkał w nędznej chacie, która była po wielokroć naprawiana i nic już nie mogło zmienić jej wyglądu. Hernando uważał go za jednego z najstarszych mieszkańców osady, choć nie wiedział dokładnie, ile ma lat. Mimo że drzwi były otwarte, lekko zapukał trzy razy.

– Pokój – odezwał się Hamid po trzecim puknięciu do drzwi. – Widziałem Brahima wracającego z podróży – dodał, kiedy chłopiec przekroczył próg.

Dymiąca lampka oliwna oświeślała izbę, która stanowiła całe mieszkanie Hamida. Mimo odrapanych ścian i przeciekającego sufitu było tu nadzwyczaj czysto, jak w każdym domu morysków. Piec był wygaszony. Małe, jedyne okno zostało zabite deskami, żeby nie

spadło nadproże.

Chłopiec kiwnął głową i usiadł na podłodze obok Hamida na wytartej poduszce.

– Odmówiłeś modlitwę?

Hernando wiedział, że usłyszy to pytanie. Wiedział też, jakie będą następne słowa.

– Modlitwa nocna jest jedyną, którą możemy odmawiać w miarę bezpiecznie – powtarzał często Hamid – ponieważ chrześcijaństwo już śpią.

Zakrystian Andrés nauczył Hernando chrześcijańskich modlitw, dodawania, czytania i pisania, natomiast skromny Hamid, miejscowy fakił, przekazywał mu wierzenia i nauki muzułmańskie. Uznał to za swój obowiązek, odkąd moryskowie odrzucili tego księżowskiego bękarta, jakby chciał współzawodniczyć z chrześcijańskim zakrystianem i całą gminą muzułmańską.

Zanim Hernando odpowiedział na pytanie, Hamid wstał. Przytknął i zarygłował drzwi, po czym obaj rozebrali się w milczeniu. W czystych miskach stała przygotowana woda. Zwrócili się ku Mekce, zgodnie z *kibla**.

– O Boże, Panie mój! – zaczął Hamid i wkładając dłonie do miski, obmył je trzy razy. Hernando przyłączył się do modlitwy, obmywając ręce w drugiej misce. – Przy twojej pomocy pragnę ustrzec się brudu i pokus przekłętą szatana...

Następnie przystąpili do obmywania ciała zgodnie z zasadami: części wstydlive, ręce, nozdrza i twarz, ramię prawe i lewe, od czubków palców do łokcia, głowa, uszy i stopy aż do kostek. Każdej ablucji towarzyszyła odpowiednia modlitwa. Chwilami głos Hamida zamierał: był to sygnał, że chłopiec ma przejąć jego rolę. Hernando uśmiechał się i wspólnie kontynuowali rytuał ze wzrokiem utkwionym w *kibla*.

– ...abyś w dniu Sądu podał mi... – modlił się głośno chłopiec.

Hamid przymykał oczy, potakiwał z zadowoleniem i znów przyłączał się do litanii:

– ...mój list do prawej ręki i osądził łaskawie...

* Kierunek wyznaczający Mekkę.

Po ablucjach przyszedł czas na modlitwę nocną: pokłonili się dwa razy, kładąc dłonie na kolanach.

– Błogosławiony niech będzie Bóg... – zaczęli jednym głosem.

W momencie gdy klęczeli na jedynej macie Hamida, wysuwając do przodu ramiona i dotykając twarzą podłogi, ktoś zapukał do drzwi.

Obaj zaniemówili i zamarli w bezruchu.

Pukanie się powtórzyło. Tym razem zabrzmiało głośniejsze.

Hamid obrócił przerażony wzrok na chłopca, napotykając spojrzeniem jego niebieskie oczy błyszczące w blasku lampki oliwnej. Przykro mi, zdawał się mówić, jestem już stary, ale Hernando...

– Hamidzie, otwórz! – usłyszeli.

Hamidzie? Morysk zerwał się rażno z kolan mimo niesprawnej nogi i pobiegł do drzwi. Hamidzie! Żaden chrześcijanin tak go nie nazywał.

– Pokój.

Nowo przybyły zastał Hernanda w pozycji klęczącej: palce stóp wciąż miał na macie.

– Pokój – przywitał się nieznajomy, niski, ciemny mężczyzna, ogorzały od słońca i dużo młodszy niż Hamid.

– To Hernando – Hamid przedstawił chłopca. – A to Ali z Órgivy, mąż mojej siostry. Skąd się tu wzięłeś? Co robisz tak daleko od domu? – Za całą odpowiedź Ali wskazał brodą w stronę Hernanda. – Chłopak jest godny zaufania – zapewnił Hamid. – Możesz go sprawdzić.

Ali obserwował Hernanda podnoszącego się z klęzek i przytaknął głową. Hamid zaprosił szwagra, żeby spoczął, po czym sam usiadł obok niego: Ali na macie, Hamid na swej wytartej poduszce.

– Przynieś świeżej wody i rodzynek – powiedział do Hernanda.

– Pod koniec tego roku świat się zmieni – oświadczył uroczyście Ali, nie czekając, aż chłopiec wyjdzie wykonać polecenie.

Dwadzieścia parę rodzynek w miseczce, którą Hernando postawił na podłodze obok mężczyzny, to był efekt datków uzbieranych w wiosce dla fakiha. Nawet skąpy Brahim przysyłał tu czasem pasierba z darami.

Hamid nie przerwał rozmowy ze szwagrem, kiedy Hernando

usiadł na brzeżku maty.

– Wiem, o czym mówisz – powiedział fakih.

Hernando obserwował ich z ciekawością. Nie wiedział dotąd, że Hamid ma rodzinę, ale te słowa słyszał nie po raz pierwszy: jego ojczym mówił to samo po każdym powrocie z Grenady. Zakrystian Andrés wyjaśnił chłopcu, że to z powodu wejścia w życie nowego dekretu królewskiego nakazującego moryskom nosić się tak samo jak chrześcijanie i nie używać języka arabskiego.

– Była już nieudana próba w Wielki Czwartek tego roku – dodał Hamid. – Skąd wiadomo, że teraz się powiedzie?

Hernando nadstawił ucha. O czym Hamid mówi? Jaka nieudana próba?

– Na pewno się uda – zapewnił Ali. – Poprzednio cała Alpuhara mówiła o powstaniu. Dlatego markiz de Mondéjar dowiedział się o planach i Albaicín musiało się wycofać.

Hamid chciał poznać więcej szczegółów. Hernando zeszytywniał na dźwięk słowa „powstanie”.

– Tym razem postanowiono, że Alpuhara niczego się nie dowie, dopóki nie zdobędziemy Grenady. Moryskowie z Albaicín otrzymali dokładne instrukcje na ten temat. Odbyło się potajemne spotkanie ludzi z okolic Grenady oraz z doliny Lecrín i Órgivy. Żonaci mężczyźni mają zwerbować żonatych, kawalerowie kawalerów, a wdowcy wdowców. Ponad osiem tysięcy osób czeka w pogotowiu na sygnał do ataku na Albaicín. Wtedy dopiero pójdzie wieść po Alpuharze. Ocenia się, że sto tysięcy mężczyzn stanie pod bronią.

– Kto tym razem przygotowuje powstanie?

– Spotkania odbywają się u Adeleta, świecarza z Albaicín. Przychochodzą Hernando Zaguer, *alguacil** gminy Cádiar, Diego López z Mecina de Bombarón, Miguel de Rojas z Ugíjar, a także Farax Ibn Farax, Tagari, Mofarrix, Alatar... Wielu banitów do nich dołączy...

– ciągnął Ali.

– Nie ufam im, to bandyci – przerwał mu Hamid.

Ali wzruszył ramionami.

– Dobrze wiesz, że wielu z nich musiało pójść w góry, żeby

* Niższy urzędnik (sądowy lub magistracki), także policjant i zarządca.

przeżyć – powiedział usprawiedliwiająco. – Nam nie przeszkadza-
ją! Sam byś z nimi był, gdyby nie... – Ali starał się nie patrzeć na
chromą nogę Hamida. – Dla większości zbójnictwo to jedyny spo-
sób walki z niesprawiedliwością, żeby nie robiono ludziom tego, co
zrobiono tobie...

Ali nie dokończył, czekając na reakcję szwagra. Hamid oddał się
na kilka sekund wspomnieniom i zacisnął wargi, kiwając głową na
potwierdzenie.

– Co takiego...? – podskoczył Hernando, ale zamilkł na znak
dany ręką przez Hamida.

– Którzy banici dołączą? – zapytał fakihi.

– Partal z Narili, Nacoz z Nigüeles, Seniz z Bérchul. – Hamid
słuchał w zamyśleniu pełnych zapалу słów Alego: – Wszystko jest
przemyślane. Albaicín powstanie w Nowy Rok. Na ten sygnał osiem
tysięcy ludzi spoza Grenady wedrze się... wedrzemy się na mury
Alhambry od strony Generalife. Będziemy mieć siedemnaście dra-
bin, które robią dla nas w Ugíjar i Quéntar. Oglądałem je: solidne,
wytrzymałe, splecione z konopnych powrozów, szczeble z grubego
drewna, trzech mężczyzn naraz może wspinać się po nich. Będziemy
ubrani na modłę turecką, żeby chrześcijanie myśleli, że to posiłki z
Berberii albo od sultana. Kobiety już tym się zajmują. Grenada nie
jest przygotowana do obrony. Odzyskamy ją w okresie, na który
przypada rocznica podbicia przez królów kastylijskich.

– A co po zdobyciu Grenady?

– Algier nam pomoże. Wielki Sultán też pomoże. Obiecali nam.
Hiszpania nie podoła dalszym wojnom. I tak już walczy we Flandrii,
w Indiach, z Berberami i Turkami.

Na te słowa Hamid podniósł oczy i mruknął:

– Błogosławiony niech będzie Bóg.

– Spełnią się proroctwa, Hamidzie! – zawołał Ali. – Zobaczysz,
że się spełnią!

W pomieszczeniu zaległa cisza przerywana tylko nierównym od-
dechem Hernanda. Chłopiec lekko drżał i nie przestawał przenosić
oczu z jednego mężczyzny na drugiego.

– Czego oczekujecie ode mnie? Co mam zrobić? – spytał nagle
Hamid. – Jestem kulawy...

– Jako potomek w prostej linii z dynastii Nasrydów musisz być przy zdobywaniu Grenady. Reprezentujesz ród, który rządził w Grenadzie i do niej wróci. Twoja siostra gotowa jest ci towarzyszyć.

Zanim Hernando zdążył zadać pytanie, Hamid spojrzał na niego, potwierdził skinieniem głowy i dotknął jego ramienia, prosząc bez słów o cierpliwość. Chłopak opadł na matę, wpatrując się w skromnego fakiha ogromnymi, niebieskimi oczami. Hamid potomkiem Nasrydów, królów Grenady!

3

Hamid chciał zatrzymać Alego na noc, ale mężczyzna się nie zgodził: wiedział, że jest tylko jedno łóżko, więc żeby nie urazić gospodarza, oświadczył, że ktoś na niego czeka w Juviles, gdzie ma parę spraw do załatwienia, i musi już iść. Starzec usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem odprowadził gościa do drzwi. Ze swojego miejsca na macie Hernando obserwował ceremoniał pożegnania. Długo jeszcze fakih stał w progu, spoglądając za oddalającym się w ciemnościach szwagrem, i dopiero gdy stracił go z oczu, zamknął drzwi. Wtedy odwrócił się do chłopca: jego pomarszczona twarz wyrażała napięcie, a oczy, zwykle spokojne, błyszczały.

Przez chwilę stał zamyślony. Potem bardzo powoli pokuśtykał w stronę chłopca, prosząc go gestem o milczenie. Trwało to tylko moment, ale Hernandowi to milczenie wydawało się nieskończenie długie. Wreszcie Hamid usiadł, uśmiechając się do niego serdecznie. Tysiące pytań kłębiło się w głowie chłopca: Nasrydzi? Jakie powstanie? Co zamierza zrobić wielki wezyr? I co mają do tego Algierczycy? O co chodzi z tymi banitami? Co robią Berberowie w Alpuharze? Ale wszystkie pytania sprowadziły się do jednego:

– Dlaczego żyjesz tak biednie? Przecież jesteś potomkiem...?

Twarcz fakiha spochmurniała, zanim Hernando dokończył pytanie.

– Wszystko mi zabrali – odparł sucho.

Chłopiec uciekł wzrokiem w bok.

– Bardzo mi przykro... – zdołał wykrztusić.

– Stało się to nie tak dawno – Hamid rozpoczął swą opowieść

ku zdziwieniu chłopca. – Ty byłeś już wtedy na świecie, gdy zaszły poważne zmiany w zarządzaniu Grenadą. Wcześniej my, moryskowie, podlegaliśmy kapitanowi generalnemu królestwa, którym był markiz de Mondéjar. On rządził w imieniu króla, pana prawie całej tej ziemi. Tymczasem armia urzędników i kauzyperdów z Kancelarii Królewskiej postanowiła przejąć kontrolę nad moryskami i król na to przystał mimo sprzeciwu markiza. Od tej pory rejenci i adwokaci zaczęli nas zadręczać, rozgrzebując stare spory. Był kiedyś zwyczaj, że moryskom, którzy oddają się pod opiekę króla, zostają zapomniane wszelkie przewinienia. Wszyscy na tym korzystali: moryskowie mogli spokojnie osiedlać się w Alpuharze, a król zyskiwał siłę roboczą, gdyż płaciliśmy wysokie podatki, dużo większe niż chrześcijanie w tej samej sytuacji. Ale Kancelaria Królewska w Grenadzie nic z tego nie miała i urzędnikom to się nie podobało. – Hamid sięgnął do miski z rodzynkami stojącej wciąż na macie. – Chcesz? – zaproponował.

Hernando się niecierpliwił. Nie, nie chciał rodzynek... Chciał słuchać dalszej historii! Wyciągnął jednak rękę po rodzynek, żeby zadowolić Hamida. Żuł powoli, w milczeniu, i czekał.

– Pod pretekstem walki z muzułmańskimi rozbójnikami – Hamid podjął opowieść – rejenci tworzyli oddziały, a na żołnierzy brali swych krewnych i służących... Dostawali najwyższe żołdy. Nikt nie miał większych w całej armii królewskiej. Nawet Germanie z legii we Flandrii! Ci zadufani faworyci wcale nie mieli zamiaru walczyć z bandytami. Woleli dręczyć spokojnych morysków, wyciągając stare akta z niezakończonych procesów i ustalając surowe kary. Wielu naszych uciekło wtedy w góry, aby dołączyć do banitów. Chciwość urzędników nie znała jednak miary; wzięli się do sprawdzania tytułów własności ziemi. Kto nie miał odpowiednich dokumentów, musiał zapłacić okup na rzecz króla albo opuścić swe posiadłości. Wielu z nas nie było na to stać...

– Ty też nie miałeś tych dokumentów? – zapytał Hernando, nie dając mu przerwać opowieści.

– Nie miałem – odpowiedział strapiiony Hamid. – Wywodzę się z dynastii Nasrydów, ostatnich władców Grenady. Moja rodzina – akcent dumy w głosie Hamida mocno poruszył Hernanda – była

jedną z najznamienitszych w Grenadzie, mimo to jeden nędzny, chrześcijański skryba pozbawił mnie ziemi i całego mienia.

Hernando zadrżał. Hamid przerwał przytłoczony bolesnymi wspomnieniami. Po chwili otrząsnął się i kontynuował opowieść, jakby chciał raz na zawsze wyrzucić z siebie historię swego nieszczęścia.

– Kiedy Abu Abd Allah Muhammad, zwany przez chrześcijan Boabdil, poddał się Hiszpanom, w nagrodę dostał od nich w lenno Alpuharę, gdzie przeniósł się z całym dworem. Towarzyszył mu między innymi jego kuzyn a mój ojciec, znakomity fakił, znawca prawa muzułmańskiego. Ale chytry Królowie Katolicki* wymyślili podstęp: bez wiedzy Boabdila i za jego plecami nabyli ponownie te ziemie poprzez swojego pełnomocnika i wypędzili stamtąd władzę muzułmanów. Prawie wszyscy nobile i wielcy panowie muzułmańscy opuścili wtedy Hiszpanię razem z „Małym Królem”. Mój ojciec postanowił pozostać ze swym ludem, żeby służyć mu radami jako fakił. Akt kapitulacyjny Grenady gwarantował Maurom pokojowe współżycie i poszanowanie ich religii. Jednakże kardynał Cisneros przekonał parę królewską, że Maurowie, którzy nie przejdą na chrześcijaństwo, powinni być wygnani. Nie było innego wyjścia. Ludzie nie chcieli opuszczać ziemi, gdzie rodziły się i rosły ich dzieci! Musieli dać się pokropić wodą święconą. Chrzczono setki ludzi naraz. Wielu wychodziło z kościoła zadowolonych, że nie padła na nich nawet kropla wody, i w dalszym ciągu są muzułmanami. Urodziłem się pięćdziesiąt lat temu... – Hernando drgnął. – A co, myślałeś, że jestem starszy? – Chłopiec pochylił głowę. – No cóż, pewne rzeczy sprawiają, że człowiek starzeje się przedwcześnie... Jakkolwiek na to patrzeć, żyliśmy sobie spokojnie na ziemiach przekazanych Boabdilowi na podstawie ustnej umowy. Nikt nie kwestionował naszej własności, dopóki nie spadła na nas ta szarańcza urzędników i kauzyperdów. A wtedy...

Hamid zamilkł.

* Wspólny tytuł honorowy nadany monarchom hiszp.: Izabeli I Katolickiej i Ferdynandowi I Katolickiemu przez papieża Aleksandra VI w 1496 r. (z prawem używania przez ich następców).

– Wszystko ci zabrali – dokończył Hernando zgnębionym głosem.

– Nie wszystko. – Fakih sięgnął do miski po kolejny rodzynek. Hernando się ożywił. – Nie wszystko – powtórzył Hamid z rodzynkiem w ustach. – Nie odebrali nam naszej wiary mimo usilnych starań. I nie zabrali nam również...

Hamid podniósł się z trudnością i podreptał do jednej ze ścian chaty. Tam prawą nogą zaczął wiercić w ziemi, aż trafił na grubą deskę. Podniósł jeden koniec i schylił się, żeby wyciągnąć jakiś przedmiot owinięty w kawałek materiału. Hernando nie musiał pytać co to – zakrzywiona linia mówiła sama za siebie.

Hamid delikatnie odwinął szablę i pokazał chłopcu.

– Tego mi nie zabrali. Podczas gdy komornicy, pisarze i sekretarze wydzielali sobie z rąk jedwabie, szlachetne kamienie, zwierzęta i ziarno siewne, ukryłem ten najcenniejszy skarb rodowy. Szabla Proroka*, Jemu pokój i błogosławieństwo! – oznajmił uroczyście. – Wiem od ojca, a on z kolei słyszał to od swojego, że jest to jedna z wielu szabel, jakie Mahomet otrzymał w ramach okupu od bałwochwalców Kurajczytów pojmanych podczas zdobycia Mekki.

Ze złotej pochwy zwisały kawałki metalu pokrytego arabskimi napisami. Hernando poczuł dreszcz na całym ciele i oczy zabłyśły mu jak u dziecka. Ta szabla była w rękach Proroka! Kiedy Hamid wyciągnął ją z pochwy, w izbie od razu pojaśniało.

– Będziesz przy odbijaniu miasta, które nigdy nie powinno było znaleźć się w rękach niewiernych – powiedział, patrząc na broń. – Będziesz świadkiem spełniania się naszych proroctw. Wierni znów zapanują na ziemiach Al-Andalus.

* W tradycji arabskiej chodzi o mityczny miecz Mahometa. Wyobrażano go sobie jako szablę o rozdwojonym ostrzu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).